Janina Łagoda

III RP nie wyłoniła się jak Feniks z popiołów, ale jest następstwem powojennego historycznego ciągu zdarzeń w graniczno-politycznym porządku ukształtowanym jałtańskimi decyzjami, jakie zapadły w krymskim pałacu, którego pierwotnym właścicielem był – nomen omen – nasz rodak, Leon Potocki (1799-1864), zaś Wieszcz Adam stamtąd właśnie zauroczył się widokiem Ajudahu. Późniejszy właściciel, car Aleksander II Romanow gruntownie przebudował tę rezydencję. Ale i on nie mógł przypuszczać, że zapadną w niej polityczne rozstrzygnięcia ważkie dla świata i Polski. Otrzymaliśmy państwo skrojone w zgodnym rytmie przez Wielką Trójkę, i to bez prawa apelacji, o czym tak chętnie zapominają krytycy Polski Rzeczpospolitej Ludowej (PRL). Stało się to wówczas przy pełnej aprobacie jałtańskich partnerów. Ich współsprawstwo, co do naszych powojennych losów nie budzi wątpliwości, z tym że w oficjalnych ekspiacjach rządzących o wszelakie zło tamtych uzgodnień jest obwiniany tylko jeden z Mocarzy graniczący z nami. Do dwóch pozostałych władze usiłują się przymilać, ale nie sposób się zachwycać saldem tych umizgów. Wybija rusofobia, która też zysków nie przynosi. W tym politycznym gorsecie przyszło nam żyć blisko 45. lat, tj. do chwili kiedy zaczął nadmiernie uwierać Wielkich w realizowaniu ich egoistycznej polityki globalnej, a w krajach będących od powojnia pod nadzorem Związku Radzieckiego eksplodowały odśrodkowe siły wolnościowe.

Powojnia czas

PRL nie była bezwolnym układem państwowym, lecz uznawanym przez świat równorzędnym podmiotem. Wiele traktatów z tamtych lat nadal obowiązuje, np. umowy indemnizacyjne podpisane w latach 1948-1971 z 12. państwami, w tym z USA (1960 r.) dotyczące przyznania rekompensat za mienie utracone przez cudzoziemców na skutek nacjonalizacji lub wywłaszczenia w Polsce, i co ważne w pełni zrealizowane. Nie ma też wątpliwości, że w relacjach międzynarodowych i krajowych należało uwzględniać moskiewskie sugestie, ale nie hamowało to wewnętrznych procesów ku ziszczeniu pragnienia samostanowienia. Efekty tego rozmaicie się objawiały w różnych przedziałach czasowych i na poszczególnych szczeblach odpowiedzialności tych, którzy realizowali zadania ówczesnego państwa, jakie otrzymaliśmy - i w patriotycznym nakazie musiało istnieć. Inna alternatywa, to rezygnacja z niego, a wówczas RP najwidoczniej zostałaby przyozdobiona republikańską liczbą, np. 17. ze wszelkimi tego konsekwencjami. Na szczęście tak się nie stało, bo w krytycznych momentach górę brał rozsądek. Nie był to bezwolnie tracony czas.
Kres okupacji to niepojęty wymiar rozumienia swobody objawiany entuzjazmem wyzwolonych, ale i wyzwolicieli, a oni tym razem szli ze Wschodu. Była to armia radziecka z udziałem polskiej formacji wojskowej. Dzisiaj jej żołnierze są postponowani przez sączące zgryźliwości umysły, wedle których rodacy z tamtych stron, to tylko żołnierze polskojęzyczni. Nieodpowiedzialna konstatacja, bo godząca w serca tych, którzy w tragicznych splotach historii znaleźli się na obcej ziemi, zaś duchem i pragnieniami pozostawali w ojczystym kraju, a kiedy pojawił się wehikuł powrotu do macierzy byli pierwszymi, którzy go zatłoczyli. Łzy radości wybawców też były autentyczne. Ta sama idea przyświecała tym, co to po zachodnich peregrynacjach wybrali azymut prowadzący ku rodzimym ziemiom. Ich droga do kraju była również całkowicie

uzależniona od woli zachodnich sprzymierzeńców, ale do nich dziwnym zbiegiem okoliczności nie przylgnął tamten epitet
o polskojęzyczności. Wspólnym mianownikiem łączącym Polaków - tych ze Wschodu i Zachodu, stało się bycie nad Wisłą. Wojenne wertepy, nasiąknięte krwią rodaków i wymoszczone polityką globalistów, ale i naszych emigracyjnych władz również, wykluczały proste ziszczenie z serca płynącej wizji powrotu do suwerennego państwa. Frustracje były codziennością banitów. Strategia wojenna alianckiego przymierza sprowadzała się do pokonania hitleryzmu w jego militarnej wersji, a po tym sukcesie określenia sfer globalnych powojennych wpływów każdego z nich. W ich obrachunkach niewiele ważyła krew polskich armijnych oddziałów na Wschodzie i Zachodzie. Byliśmy słabi we wrześniu 1939 roku i takimi pozostaliśmy w 1945 roku, mimo statusu zwycięskiego alianta.
Higiena rozumienia historii musi uwzględniać fakt, że utworzenie polskich armii na Wschodzie i Zachodzie to dobra wola sprzymierzonych splatana z ich wyrachowaniem. Dla rodaków po świecie rozproszonych ten gest stał się szansą na poprawę własnego losu, ale zarazem roztoczył perspektywę zaznaczania konturów Polski na modelowanej mapie świata. Rozsądni rozumieją, że polskie armijne oddziały mogły zaistnieć wyłącznie z woli aliantów i tylko w ich obrębie funkcjonować, tj. w strategicznym mocarstwowym obszarze podporządkowania. Dotyczyło to także oddziałów partyzanckich operujących na przyfrontowych obszarach każdej z armii. Jest to elementarz skuteczności prowadzenia każdej wojny. Alianci mieli jeden cel: dojść do Berlina i podzielić między sobą łupy polityczne oraz materialne. Rezultaty przetargów Mocarzy są znane. Dla nas, jak wspomniano, efekt tego taki, że znaleźliśmy się w radzieckiej strefie wpływów z jasnym ustrojowym przesłaniem. Logika nakazywała dbać o ten podarowany dobrostan, stąpając zarazem po chybotliwej linie rozdzielającej patriotyczne aspiracje od wschodnich ideologicznych zaleceń. To się znakomicie udawało, bo rodaków nigdy nie opuściły światoburcze myśli. Taki to już konstrukcyjny model wyznawanego wówczas patriotyzmu, ale dzisiaj oblepianego licytatorskimi utarczkami rodzimych politykierów, dla których odpowiedź na pytanie: dlaczego Zachód, jak zwykle nie zdążył na czas przybyć z pomocą Warszawie, jest wstydliwie skrywana. Ale to problem uczonych historyków, a nie domorosłych politykierów.

Rewolucyjne aspiracje

Kres wojny nie dla wszystkich to samo znaczył. Znamienita część społeczeństwa poprawnie zdefiniowała ten moment w imię polskiej racji stanu i podjęła pozytywistyczną robotę w warunkach ustanowionego pokoju. Tylko nieliczni zakwestionowali narzucony porządek, zaginając parol na jałtańskie decyzje. Niedorzeczność tym straszliwsza, że oznaczała walkę z Trzema Wielkimi, jakby podczas okupacyjnej nocy za mało się rozlało polskiej krwi. Kolejny paradoks polegał na tym, że owi patrioci nie walczyli z niedawnymi decydentami, ale ze współbraćmi, których w tym bezsensownym pojedynkowym amoku zginęło około 30. tys., w tym ok. 12. tys. funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Bezpieczeństwa, żołnierzy Wojska Polskiego oraz ormowców i ok. 10. tys. osób cywilnych: nauczycieli, sołtysów, chłopów – beneficjentów reformy rolnej, geodetów etc.
Po stronie zbrojnego podziemia śmierć poniosło ok. 8. tys. Wszyscy polegli to obywatele polscy. Zginęło też ok. tysiąca żołnierzy radzieckich. Nie sposób umieścić owych biologicznych strat w krajobrazie sukcesów na drodze ku suwerenności, kiedy już obowiązywała inna, bo bezkrwawa waluta, której pokojowy parytet górował nad zbrojnymi podchodami. Jej mocą było pożądanie uwolnienia kraju w bezkrwawej formule od jałtańskich, poczdamskich, teherańskich ale i

casablanckich uzgodnień Mocarzy. Jaką zatem inną retorsją mogliśmy wówczas odpowiedzieć, kiedy ramy swobody zostały autorytatywnie określone? Tylko pokojową robotą. Karabinowy opór stanowił utopię i osłabiał powojenne odradzanie się Polski. Był też afrontem dla Mocarzy wówczas jeszcze zgodnych, co do obranego kursu panowania nad światem. Nie jest to jednak odosobniony przykład w naszych niepodległościowych strategiach, kiedy to garstka rycerzy staje przeciwko wielu armiom (vide: Tadeusz Kościuszko z kosynierami, a przed nim trzech zbrojnych zaborców).
Dla nielicznych bojowników las i najbliższa okolica stały się geopolityką. Ich niczym nieuzasadniona wiara w inne, rzekomo bardziej korzystne rozdanie dla Polski pozostawała w kolizji nie tylko z ustaleniami Wielkiej Trójki, ale i tym razem rozsądnymi decyzjami emigracyjnych polityków oraz apelami niedawnych przywódców zbrojnych formacji tzw. państwa podziemnego, nawołującymi do powstrzymania się od zbrojnych walk. Identyczne były odezwy i amnestyjne werdykty krajowej władzy. Trwanie w leśnych ostępach bez jednolitego przywództwa, i co równie ważne, braku kontaktu z Mocarzami w oczekiwaniu na jeźdźca na siwym koniu mającego oznajmić nową światową hekatombę w polskiej sprawie było iluzją, prowokującą krwawe retorsje, ale i moralną dewastację zbrojnych oczekujących na rozkazy w puszczańskich ostojach. Okazuje się, że tragiczna powojenna utopia imponuje dzisiejszej władzy i nią się ociepla. To surrealizm w ocenie heroizmu orężnych z tamtych lat, abstrahujący od zbrodniczych zachowań wielu udziałowców tej nierealnej idei. Ale to oni wypełniają tableau jedynych bohaterów walczących o stan dzisiejszej suwerenności bez niuansowania czynów każdego z osobna. Głosy racjonalnej krytyki są lekceważone. Sublimacja intencji i czynów to trudny badawczy problem. Ale zbrodnia, jakby ją nie ułaskawiać, ma tylko jeden wymiar karnymi paragrafami opisywany.
Smutkiem napawa fakt, że w wyolbrzymianiu nonsensem wspartych zbrojnych czynów wyklętych, aktywnie uczestniczy głowa państwa, jak i wielu innych polityków obozu władzy. Hołubiona jest garstka tych, którzy po nastaniu pokoju, z bronią w ręku usiłowali zmienić aliancki układ i odtworzyć system ustrojowy niewydarzonych lotów sprzed 1939 roku. Ich umysły wypełniła plątanina szlachetnych idei z pragmatyzmem dochodzenia do pełnej suwerenności, a po drodze przypadki zwyczajnego bandytyzmu, a nawet ludobójstwa. Dzisiaj wszyscy znaleźli się w panteonie sławy z epitafium żołnierza wyklętego.
Dziwna to figura retoryczna, bo albo jest się żołnierzem, albo wyklętym z tego stanu, a wówczas wątpliwym staje się jego status obrońcy ojczyzny. Przymiotnik wyklęty deprecjonuje żołnierską godność. Gorszące jest to, że dzisiejsi rządzący autorytarnie uznali żołnierzami wyklętymi także tych, którzy podczas okupacji podejmowali autentyczną walkę z najeźdźcą. Nie sposób znaleźć paralelę tamtych konspiracyjno-partyzanckich czynów z zachowaniami powojennego zbrojnego podziemia. Synteza bez solidnej analityki jest połowiczną konstatacją, a tzw. żołnierz wyklęty tego przykładem. Polityczne zamysły nie zawsze przystają do prawdy i chyba tych wątpliwości nie rozwikła Instytut Pamięci Narodowej (IPN), tak bardzo zbratany z ideologią rządzącej partii. Tej zaś oczekiwania są jednoznaczne, bo zaryglowane międzywyborczymi potyczkami, a to dla uczciwych badaczy przeszłości wymiar obskurny. W tak przymusowym trybie nie da się uprawiać nauki historii, ale propagandę z historycznymi odnośnikami, to i owszem.
W powojennych latach zbrojny i polityczny opór przeciwko zastanemu porządkowi nie miał jednolitej strategii. W obrysie był samowolą trybunów. Każdy z nich uważał się za najważniejszego i po swojej myśli usiłował uszczęśliwiać rodaków. Skutki tej nonszalancji kainowo mierzyły w biologiczną substancję narodu. Nie była to pragmatyczna formuła odzyskiwania pełnej suwerenności, bo o niej zazwyczaj decyduje nie ogniowa kula, lecz

gabinetowe wyrachowania. Lata 80. ubiegłego wieku są takim przykładem, kiedy to dawne porozumienia globalistów zaatakowała korozja, a walka z nią stała się nieopłacalną. Udział w tym miał i nasz krajowy pokojowy, powszechny wówczas ruch solidarnościowy, którego nie wolno deprecjonować, ale i też bałwochwalczo eksponować. Nie bylibyśmy jednak sobą, by głosy rozsądku rzucić na pohybel swarliwości i ustanowić jedynie słuszny etalon oceny wartości drugiego człowieka z nonsensownym pejoratywnym zawołaniem: komuna, czyli kto był z nią, a kto przeciw. Takie licytatorskie credo jest zwyczajnym szachrajstwem, lekceważącym powszechność tego wielomilionowego obywatelskiego ruchu. Sprowadzanie tamtych przeobrażeń do grupki osób, które zrządzeniem losu zostały usytuowane w przywódczych obszarach protestu, co jest ważne, ale to przecież siła tłumu ich tam wyniosła i wobec niego mają zobowiązania, a nowy rozdział w naszej historii otworzyli, tak jak i wcześniej, potomkowie jałtańskich Mocarzy. Bez ich woli nic takiego nie mogłoby się wydarzyć, poza daremnym upustem krwi, o czym skrzętnie zapominają dzisiaj administrujący Polską. Żałosne jest to, że gesty innych w naszej sprawie gromadzą na własnym koncie, lekceważąc intelekt rodaków. Naszego oddolnego wkładu ignorować nie wolno, ale też należy docenić wolę globalistów. To ich decyzje zatwierdziły nasze wewnętrzne czyny ku wolności, obalając izolacyjny mur. W efekcie staliśmy się wolnymi, ale wtłoczonymi w gąszcz traktatowych układów, a to wyboista droga, na której co chwilę dobra zmiana się potyka, popadając w separację. Nie takie były oczekiwania.

Dziedzictwo

Prawną następczynią II RP stała się PRL, tj. państwo o fizycznych rubieżach, strukturze ustrojowej oraz autorytarnej politycznej zależności, wyznaczonej przez Mocarzy. Innej opcji nie było. Obydwie Rzeczpospolite dzieliła wojenna tragedia z ludzkimi ofiarami i materialno-kulturowym dramatem. Są to fakty wpisujące się w ciąg naszych dziejów. Moderować ich nie sposób, bo są zwyczajnie niezmiennymi, co najwyżej można wyciągać poprawne wnioski albo wyczyniać szamańskie podrygi wokół nich. Nie zmieni to istoty tamtych zdarzeń. Dobra zmiana może i zdaje sobie z tego sprawę, ale usiłuje zarówno czas II RP, okupacji, PRL-u i III RP, poza okresami swoich rządów, interpretować w sposób dla siebie wygodny, a to już odrażająca manipulacja. Wedle czynów i wyobraźni prawych i sprawiedliwych, wychodzi na to, że hitlerowska niewola została zrównana z PRL. Tak radykalna myśl chyba nie zagościłaby w umysłach Wielkiej Trójki. Niepohamowana ignorancja w postrzeganiu faktów i histerycznego uwielbiania międzywojnia, które zbankrutowało, zaślepia rządzących. Winą za wrześniową przegraną obarczają wyłącznie ówczesnych iluzorycznych sojuszników, mimo że niektórzy z nich dzisiaj ponownie stali się naszymi strategicznymi partnerami. Oby obecne przyjaźnie były bardziej autentyczne od tamtych. Dla siebie zaś Rządzący wbrew tych obiekcji zostawiają splendor heroicznej walki o wyzwolenie. I znów uczciwość wagaruje miast towarzyszyć zbliżaniu się ku prawdzie, na którą licencji nikt nie posiada.
Odrębnym rozdziałem intelektualnych pomysłów władzy są nieudolne próby wymazywania istnienia PRL-u z pamięci rodaków. Ten niebezpieczny kurs będzie trwał tak długo, jak aktualnym pozostanie adres dzisiejszej państwowotwórczej pozaprawnej dyspozytorni zarządzającej krajem ulokowanej przy warszawskiej Nowogrodzkiej. Na tle Unii Europejskiej, to niezrozumiały bohomaz, który w równej mierze obraża godność Polaków i uwłacza demokratycznym regułom.

Abstrahując od wcześniejszych uwag, nie sposób obchodzić krętymi ścieżkami czasu PRL-u, bo zwyczajnie istniała, a w niej miliony obywateli. Oni nie żyli w lasach, a wedle narracji dzisiejszych patriotów powinni tam czynić swoją patriotyczną powinność lub z obrzydzeniem opuścić kraj. Jeśli tak by się stało, to rządzący dzisiaj nie mieliby problemów z tamtym historycznym rozdziałem i mogliby się pławić w balsamicznym patriotycznym sosie pod warunkiem, że dane im byłoby aktualnie sprawować władzę. Naiwność graniczącą z załganiem. Fikcja zdominowała rzeczywistość. PRL to nieodległy czas. Była to Rzeczpospolita, jak wiele wcześniejszych i nie może być tarczą strzelniczą szatkowaną obscenicznym śrutem wedle receptury wymyślonej przez dobrą zmianę. Dziwność tym większa, że odpalającymi te pociski są najczęściej ci, którzy mają sporo do zawdzięczenia PRL-owi. Taka to już neoficka nieuleczalna przypadłość wodza i jego akolitów, którzy wyrastali w innej epoce, a sprawują rządy w zupełnie odmienionych czasach, których istoty tak do końca nie zgłębili, ale sterowania państwem się podjęli. Kameleonowa przypadłość, prowadzająca do roli Katona może sprowokować szokujące nieodwracalne urazy o epidemicznym zasięgu chorobowej paranoi, a jej leczenie jest skomplikowaną terapią.

Okrągłostołowy fenomen

III RP to nie wyjałowiony z genetycznego zaczynu laboratoryjny produkt, lecz historyczny ciąg naszych dziejów, będący rezultatem przekształceń ustrojowych, które dokonały się w łonie jej poprzedniczki. PRL była realnym państwem ze wszystkimi zaletami i przywarami, które niekiedy uwierały, ale należało cierpliwie je znosić i robić swoje, jak sugerował niezapomniany Wojciech Młynarski (1941-2017). Tak też się działo. Innej drogi nie było. Kraj został odbudowany ze zniszczeń wojennych. W tym procesie uczestniczył cały naród, no może poza nielicznymi przebywającymi w lasach i zawodowymi niezbrojnymi konspiratorami, chociaż sporo z nich, zajmujących państwowe etaty, na pewno z obrzydzeniem, ale umacniało zafundowane nam państwo, zaś po godzinach pracy zmagało się z wyrzutami własnego sumienia. Wychodziło na to, że wprawdzie odbudowywali kraj, ale się z sobą nie zgadzali. Taki to instynkt, mający naśladowców nawet w randze wicepremiera wygłaszającego co jakiś czas konstatacje w stylu noblisty: jestem za, a nawet przeciw. Bezradność najczęściej jest smutnym stanem.
W powojennym procesie odbudowy kraju ważki udział mieli ci, którzy swoje kariery zawodowe rozpoczynali w II RP i szczęśliwym trafem przetrwali okupację. A byli to znamienici fachowcy z różnych dziedzin nauki, administracji, wojskowości, ekonomii, prawa, kryminalistyki, przemysłu, budownictwa, rzemiosła, rolnictwa etc. Dla nich pracy nie brakowało. Nikomu też z ówczesnej władzy nie zaświtała myśl, aby z ich umiejętności rezygnować, bądź w inny sposób szykanować, np. odbierając prawo do późniejszych emerytur za czas pracy w II RP, podczas okupacji, bądź w Polsce Ludowej. Polityczne ekscesy wobec niektórych się zdarzały, ale nie wolno ich generalizować. Co wówczas ważne nie stosowano odpowiedzialności zbiorowej, a to przecież jedna z cech totalitarnych rządów, która po latach nieopatrznie, a może metodycznie zagościła u dobrej zmiany.
PRL, aby istnieć musiała uwzględniać rady płynące ze Wschodu. Nie był to jednak prosty przekładniowy mechanizm. Władze wielokroć objawiały swoje obiekcje co do tamtych zaleceń, rzecz jasna w dopuszczalnych wymiarach. Tak było przykładowo w odniesieniu do obrony statusu zachodniej granicy, ale i wielu innych kwestii. Naród nie próżnował i poszukiwał dróg dochodzenia do pełnej suwerenności. Historia podskórnego ruchu wolnościowego jest obszerna i nadal dokumentowana. Kulminacja zrywu nastąpiła w latach 80. ubiegłego wieku, kiedy to

globaliści zaczęli weryfikować jałtańskie umowy. Wówczas było wiadomo, że wynik zabiegów o suwerenność stanie się rzeczywistością i objawi się nowy ustrój. Jaki? Tak do końca nie było wiadomo, ale wiele przesłanek wskazywało, że będzie to demokracja w stylu zachodnim z rynkową gospodarką, czego pierwsze symptomy zaczęły się objawiać jeszcze za peerelowskich rządów (np. ustawa z 1988 roku o działalności gospodarczej obowiązująca do 2000 r., autorstwa M. Wilczka). Wszystko nadal działo się w strukturach trzeszczącego systemu. Wzmagała się presja na ostateczne rozwiązanie tego problemu. Rysowały się dwie drogi: pokojowa i niefrasobliwie radykalna krwią roszona, co w polskiej tradycji nie jest unikatem i daje upust do późniejszych efektownych celebracji tragedii. Przełom lat 80. I 90. ubiegłego wieku na szczęście nam tego zaoszczędził.
Wybrano wariant pierwszy, ale po latach niektórzy z rządzących doznają dyskomfortu z obranej drogi, a wyznaczano ją w niełatwych, lecz konsensusem zakończonych negocjacjach, do których przystąpili przedstawiciele władz PRL i opozycji. Zasiedli przy stole bez kantów, bo okrągłym, symbolizującym partnerstwo biesiadników. Ten fakt do historii przeszedł jako Obrady Okrągłego Stołu. Trwały od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 roku w Warszawie. Międzynarodowe otoczenie uznało je za akt politycznej mądrości i największy sukces Polaków od stuleci. Rodzime opinie nie były aż tak jednoznaczne. Wkrótce górę wzięło genetyczne pieniactwo zmiksowane z osobistymi ambicyjkami poddającymi bezwzględnej krytyce okrągłostołowe ustalenia – i to w przedziale od ich deprecjonowania do nazwania zdradą narodową. Siermiężne stany ducha rządzących nie zaskakują, lecz pora, aby wreszcie zbratali się z uczciwością.
Szaleńczy amok unicestwiania okrągłostołowego sukcesu trwa. Ostatnio, poza permanentnym trywializowaniem PRL-u wzbogacono ten absurdalny trend desperacką ideą jej zamazywania w świadomości rodaków. To robota Syzyfa, rodząca pytanie: na jakich więc fundamentach spoczywa III RP, bo nie jest to rzeczywistość sformowana z nicości przez dobrą zmianę. Orędownikom takiego myślenia zabrakło wyobraźni. Już samo określenie: dobra zmiana znaczy tyle, że przed nią musiało coś istnieć, a nie była to ruina rzekomo raniąca stopy władców, co najwyżej kalecząca ich umysły. Było to rzeczywiste państwo. Abstrahując od semantycznych niuansów, jedno jest pewne, że nie sposób skutecznie podcinać korzeni drzewa siedząc na jego wierzchołku. Infantylny to sposób glajchszaltowania (degradowania) historycznych zdarzeń. Najwyższy czas, aby definicję faktu zgłębiła dobra zmiana. Na to się jednak nie zanosi, ale na zmianę dobrej zmiany już tak, chyba że wyborcy pójdą inną marszrutą pieczętując obskurantyzm, bo polskie drogi, nawet te autostradowe są wyboiste. Pomyślność przejazdu po nich pozostaje więc nieodgadniona.
Dziejowych następstw lekceważyć nie wolno. Zawsze uczestniczyli w nich ludzie i to oni w wektorowych relacjach decydowali o kształcie epoki, w której żyli, ją przeobrażali i zarazem tworzyli masę krytyczną, dla wyzwalania nowych jakości. To odwiecznie samonapędzający się wzorzec rozwoju, czego dobra zmiana nie potrafi zgłębić, ani się z nim oswoić, bo zwyczajnie lekceważy dziejową czasoprzestrzeń i reguły nią rządzące.
Dorobek PRL-u zajmuje poczesne miejsce w najnowszych dziejach. Tego nie sposób przemilczać, krytykować, szkalować, lekceważyć, opatrywać kiepskimi żartami etc., bo to naiwne zabiegi, których nawet nie wzmocni bełkot panujących o tworzeniu Edenu na polskiej ziemi, wulgarnie wykluczający dorobek poprzedników, także tych z peerelowskim piętnem. A to spory majątek przez nich pozostawiony. Propagandowa wersja o zastaniu zrujnowanego kraju legła w gruzach. Taki to los każdej wersji godzącej w fakty.
Nowogrodzkie biuro konstrukcyjne usiłuje udoskonalić własny ustrojowy eksperyment. Jak

dotąd czyni to nieudolnie, jak chociażby żonglując deficytem budżetowym, bez prezentowania realnych sposobów jego zmniejszania, a to niebagatelna umiejętność. Pozostała więc lodowiskowa propaganda, a w niej dwa naiwne narzędzia: dekomunizacja bez komunizmu i lustracja tych, którzy wspomagali instytucje państwa. PRL musiała istnieć, wbrew bezrozumnym sugestiom dzisiejszych politykierów. Tamtego faktu nie wolno rozgrywać mistycznymi nowelkami w stylu nieustępliwej walki kruszącej okowy niewoli, bo to nierealność. Nasza polityczna swoboda, to nade wszystko zbieg interesów już wówczas skłóconych Mocarzy. Niektórzy z nich nie szczędzili grosza na podsycanie oporu pulsującego wewnątrz tzw. państw demokracji ludowej. Beneficjentami tych darów byli ci na szczytach tzw. ówczesnej konspiracji i zapominają, że skromność jest szlachectwem. Ale i dzisiaj również mają odwagę wypinać torsy po medalowe dekoracje i nie gardzą materialnymi profitami, a biedy kolegów nie dostrzegają. Egoizm ma się dobrze. Kombatantów z polityczno-ekonomicznymi pretensjami przybywa, jak zawsze po wojennych i politycznych przełomach.

Na tendencję mnożenia wiarusów o wątpliwych zasługach już kiedyś zwracał uwagę J. Piłsudski (1867-1935). W aroganckich gawędach rządzących prominentów gdzieś się zapodział powszechny wielomilionowy ruch solidarnościowy. Brutalnie jest też pomijany fakt o zgodzie globalistów na położenie kresu powojennemu uzależnieniu, a działo się to jeszcze za czasów Peerelu, czemu ówczesne władze sprzyjały. Natomiast wersja rządzących jest taka, że staliśmy się wolnymi z własnej inicjatywy bez udziału PRL-u. W tym zakłamaniu uczestniczy też premier dzisiejszego rządu, który jak się okazuje, jest człowiekiem renesansu, a więc rozlicznych profesji, także tej konspiracyjnej. Jeśli tak, to dlaczego aż z takim opóźnieniem instalował nowy system polityczny? Błądzić jest rzeczą ludzką (Seneka Młodszy 4 r. p.n.e. - 12.4.65 r. n.e.), ale nie tłumaczy to tworzenia oligarchicznego sobiepaństwa. A taka to tendencja, którą w jakimś sensie potwierdzają twitterowe wpisy, w tym także konstytucyjnych ministrów, którzy nie baczą na swój intelektualny deficyt, na co zwrócił uwagę Ludwik Dorn, były marszałek sejmu. Komunizmu u nas nie było, a tajni agenci, zazwyczaj bez ideologicznych preferencji, funkcjonują od zarania dziejów i to w każdym państwie i ustroju. Natomiast zbitka pojęć: lustracja i dekomunizacja stała się w ręku rządzących nieobliczalnym narzędziem unicestwiania dziesiątków lat powojennej egzystencji narodu. Smutna to wizja dla Polski i Polaków. Wnętrze kraju wypełnia lustracyjna jąkanina inspirowana archiwalnymi znaleziskami wytropionymi wedle politycznego pelengu. Obce agendy świętują naszą transparentność. Ujawnienia wprawdzie dotyczą poprzedniej epoki, ale nadal frapują one analityków obcych wywiadowczych służb. Taki to już bezrozumny model walki z dawnym systemem, generujący niepowetowane straty obecnemu państwu, a nie PRL-owi. Jeśli tego nie pojmuje nowogrodzka władza, to cóż po takiej władzy. Archiwalia są z pozoru tylko niemymi półkowymi pozycjami. Ich nierozważne wzruszenie może się okazać kaloryczną strawą dla wywiadowczych korporacji z pozoru nam przyjaznych. Trudno o lepszy dla nich prezent.

Rządzących winno wreszcie olśnić to, że wszystkie służby specjalne egzystują w oparciu o identyczne narzędzia pracy operacyjnej od wieków stosowane i nie one są tajemnicą, ale informacyjny urobek przy ich zastosowaniu. Grono niejawnych pomocników służb o rożnym nazewnictwie (np. agent, tajny współpracownik, kontakt etc.) istnieje od starożytności, jest i pozostanie faktem. Natomiast ich zbiorowe napiętnowanie, graniczy z aberracją. Recenzja czynów może następować wyłącznie w kontekście interesu państwa, a nie w spektakularnych odsłonach chwilowej przydatności politykierom w ich personalnych rozgrywkom. W tej chwili to niestety norma.

Niemal w idiotyczny sposób jest wykorzystywane hasło: dekomunizacja, mająca zamazywać

wszystko to, co może przywoływać na pamięć PRL. Dzieje się to w autorytarnej decydenckiej dyspucie odległej od historycznych faktów, która została sprowadzona do niesmacznej mechaniki burzenia pomników, zmieniania nazw ulic, skwerów, szkół etc. Odrażająca to robota, będącą walką z faktami, a to próżny trud, jak dawno temu zauważył znamienity kaliszanin Adam Asnyk (1838-1897), żyjący w niewoli, lecz bez alergicznych zachowań wobec zaborcy. Rozum i dialog stawiał na miejscu pierwszym. Jest więc kogo naśladować, ale nauka dzisiejszych władców poszła w las bodaj w marszowym rytmie z żołnierzami wyklętymi.
Okrągły Stół był znamienitym pomysłem definiowania kierunku rozwoju państwa w nowej wersji wolności. Stał się ważkim znakiem w dziejach RP. Jego miejsce jest na cokole sukcesów Polski i zasługuje na niekończące roztropne wspominanie, świętowanie, konkludowanie, honorowanie akademiami ku czci etc. Wszystko późniejsze dla czasu teraźniejszego wypływa z tamtych rokowań, łącznie z datą czerwcowych wyborów, która w uproszczonych sentencjach rodaków dostąpiła rangi symbolicznego rozgraniczenia ustrojów, ale to też sukces Okrągłego Stołu. Prawi i sprawiedliwi usiłują narodową zgodę zniweczyć prostackimi przekazami, podpieranymi prawnymi dziwolągami, jak chociażby tym o rezerwowaniu czasu i miejsca dla tzw. cyklicznych celebracji ważnych dla demokratycznych zdarzeń. Gdańsk tego przykładem. Obnaża to bezradność i niedorzeczność władz wobec woli ludu w zabiegach o autentyczną demokrację. Gruba kreska była i jest odbierana przez racjonalistów jako niezły pomysł na bezkolizyjne rozgraniczenie epok, ale objawianie skomplikowanych życiorysów rodaków wedle euklidesowej linii, bez rozumienia jej złożoności jest nadal otwartym problemem, czego nawet twórca nie przewidział. Zrodziła się więc potrzeba wspólnego mianownika, bo nigdy nie jest tak, aby wieczorem skończyła się jedna epoka, a rano pojawiała się fabrycznie nowa ze zrodzonymi nocą orędownikami jutra. Złożony to proces wokół którego błądzą politycy. Wielu z nich brakuje pokutnego giezła, a mimo to w impulsie urojonego posłannictwa zatracają się w marszu ku prawości, ale wedle autorytarnego modelu przez siebie wydumanego.
Okrągłostołowa umowa była formułą mającą powściągać umysłowy rozgardiasz i wyławiać z niego wartości ważne na dzisiaj i ku przyszłości. Pakt tamtego czasu, uchodzący za podręcznikowy przykład narodowego zrozumienia, dzisiejsza władza weksluje politykierskim okrzykiem, że będzie rządzić w nieskończoność, a to już problem, bo w perspektywie dalsze degradowanie Polski, również w międzynarodowych relacjach. Parcie ku zaściankowości jednak nie opuszcza rządzących. Jest jeszcze jeden znamienny szczegół, otóż wychodzi na to, że okrągłostołową ugodę zawarła tzw. demokratyczna opozycja sama z sobą. Strona rządowa, która praktycznie zmontowała ten stolarski mebel w ideowo intencji stała się mgławicą, ale w jej otulinie mają się dobrze także jej przeciwnicy. Ohydne to nadużycie wobec partnera. Dane słowo w oszustwo się przeistoczyło, zaginęła kindersztuba (etykieta), lecz fakty są niewzruszalne. Można je oczadzić, nieudolnie pomijać, ignorować, ale nie sposób zmienić ich istotę. Takiego objawienia nie dostąpiła gubiąca się dobra zmiana. Natomiast szkody, jakie wyrządza będą trudnie do naprawy. Niepojęte jest, żeby Polak był wrogiem Polaka, a judaszowa karma syciła.
Nowa rzeczywistość nie jest aseptycznym absolutem, lecz następstwem dziejowych okoliczności. Nie zawsze to po drodze dobrej zmianie, która w dziecinnym trybie dogmatyzuje swoją przełomowość. Fałszywy jest też pogląd, że wszystko co poprzedzało jej rządy to zło. Szokują złośliwe przekazy o minionych czasach, także tych po Okrągłym Stole. Wychodzi na to, że w ich świadomości lądowanie talibów w Klewkach nie musiało być fikcją, a nierozszyfrowany dotąd przekaz rzekomo przez nich wysłany chyba nadal oświeca dzisiaj stojących na piedestale. Okazuje się, że stąpanie po ziemi to też sztuka.

* * *

Ciąg dziejów, to nie wyjałowiony tunel, lecz wypełniona strumieniem faktów droga ku przyszłości. One biegną swoim rytmem i nie zawsze satysfakcjonują politykierów, bo brutalnie powściągają tkwienie w próżności przez nich wydumanej. Rządzący mają z tym kłopot, jako że obca jest im refleksja, a to umiejętność nie dla wszystkich dostępna. Prostszą jest dewiza rejterady z kraju ku europarlamentarnej walucie. Oby nie była to misja ulepszania Unii w polskim języku i w imię chrześcijańskich wartości ostatnio objawianych przez rodzimy Episkopat.
Zmiana politycznego systemu to nie mechaniczne zatrzaśnięcie drzwi. Ich się domknąć nie da. Procesami społecznymi nie rządzą matematyczno – fizyczne reguły. Wiele zaszłości z PRL-u jest nadal aktualnych i to w pozytywnym odbiorze, jak przykładowo niebagatelny kapitałowy spadek po niej, będący wytworem ducha i rąk ludzi z tamtych lat. Wielu z nich to także twórcy III RP, nie wspominając o ich potomkach. Jaki jest więc sens deprecjonowania PRL-u i istotnych fragmentów III RP. Dobra zmiana ma inne wyobrażenia o tamtych czasach i postponuje rodowód dzisiejszych materialnych i intelektualnych profitów.
Współczesna RP jest rezultatem złożonych dziejowych nacieków. Analiza ich wnętrza, to zadanie dla wytrawnych uczonych, a nie tych uprawiających hybrydową tzw. historyczną politykę. Propagandowe przytupy wokół PRL-u graniczą z cynizmem podszytym tchórzostwem, nieszczerością i absurdalnym szafowaniem wersetami o plenieniu komunizmu, którego u nas nie było. Obrazoburcza jest batalia kontestująca to, co tchnie powojenną euforią. łącznie z położeniem kresu hitlerowskiego ostatecznego rozwiązania polskiej sprawy. Utożsamianie czasu PRL-u z tamtą okupacją jest nieodpowiedzialnym wybrykiem myśli. Pojawia się pytanie: w którym miejscu byłaby usytuowana dzisiejsza III RP, gdyby nie alianckie armie i entuzjazm narodu tworzącego PRL? Nader łatwo snuć urojenia w wygodnych fotelach. Nie wolno wszak zapominać o tym, że stan dzisiejszy, to wektor dziejowych politycznych zachowań. W nadrabianiu dystans do Zachodu, pomaga nam inkluzyjny dorobek PRL-u. Wówczas dokonała się społeczna insurekcja, która tym razem zaoszczędziła krwawych ofiar lecz stworzyła warunki do pomnażania dobrobytu narodu. Tego faktu nie da się przemilczeć, przysłonić, zakrzyczeć, przysypać erzacem niepamięci etc. Dokonania są czytelne. Wydaje się, że apologeci dobrej zmiany zanurzyli się w kipieli, a tam trudno o ratunek. Rozsądek nakazuje szanować dokonania poprzedników. O tym przekonało się wiele państw świętujących dzisiaj sukces. Czy dobrą zmianę też na to stać?

Janina Łagoda